70

Oprawiono w r. 1942.

Giaur

poemat Lorda Byrona,

tłomaczenie Adama Mickiewicza.

=

Przemowa Tłumacza.

O wpływie Byrona na całą tegocze-
sną literaturę przekonywają się codzień
czytelnicy, bo widzą na wszystkich utworach
późniejszych, barwę i piętno tego wielkiego
poety. O zaletach i wadach dzieł jego tyle
ksiąg napisano, że z nich możnaby ułożyć
małą bibliotekę: nie myślimy poruszać
tej pleśni krytyczno panegirycznej, głęboko
już zasypanej innemi ważniejszemi pole-
mikami.

Ale tłumacz czuł się obowiązanym powie-
dzieć zdanie swoje o dziełach Autora pod je-
dnym przynajmniej względem, — pod wzglę-
dem moralnego ich charakteru i dążenia.
Wiadomo, iż Byrona oskarżano o bezbożność

i antysocyalizm; zarzucano mu, że występnych ludzi wybierając na bohatyrów swoich pieśni, robił niejako apoteozę zbrodni; Fryderyk Szlegel nazwał go emissaryuszem Szatana, a wszyscy zgodzili się że był apostołem sceptycyzmu.

Wszakże, jeśli sądząc dzieła pod względem sztuki, Krytycy zwykli je odnosić do wieku, w którym wzięły początek, porównywać z dziełami społczesnemi i póżniejszemi, należałoby równą zachować metodę oceniając moralny charakter autorów.

Byron był dzieckiem przeszłego wieku; wszedł na świat w epoce moralnej najnieszczęśliwszej dla człowieka, dla poety. Właśnie wtenczas spadała zasłona po pierwszym akcie rewolucyi. Straszna walka piśmienna i słowna przecięta została giliotynami, i zagłuszona grzmotem wojny europejskiej. Stronnictwa osłabione wzajemnym mordem ustąpiły z placu boju; niedobitków Napoleon

rozbroił i wziął na kagańce. Wszystko ucichło. Był to czas dziwnego otrętwienia; o tych wielkich pytaniach które świat zaburzyły, lękano się już mówić, zaprzestano myśleć. Dzieła wszystkie ówczesne noszą cechę trwogi umysłowej i moralnego upadku. Są to niby rozmowy winowajców zamkniętych w więzieniu, którzy wstydzą się wspominać przeszłość, bo haniebna, — boją się pomyśleć o przyszłości, bo okropna, — i bawią się gawędką o pogodzie i deszczu.

Dusza Byrona nie mogła żyć śród takiej literatury, gwałtem wyrywała się za jej sferę. Młody Autor, prześladowany od krytyków, ścigał ich wzajem, a skrytyków sądzących o czytelnikach, zaczął lekce ważyć całą publiczność. Po tej kłótni autorskiej z literatami, nastąpił rozbrat moralny z ludźmi, którego szczegóły należą do biografji.

Zaćmiony gniewem, złorzeczęc obłudzie
Choć znał, zapomniał że są lepsi ludzie.
Korsarz, st: 98.

Odtąd zdało się Byronowi, że człowiek s ser-
cem nie może żyć w towarzystwie, że musi u-
ciec od świata lub mścić się nad nim.
Odtąd bohatyrów swoich, dzieci duszy swojéj,
wychowywał na pustyni lub w jaskiniach
łotrów.

Ale dzieci Byrona nie są to pospolici
zbrodniarze, nie zimni egoiści albo szaleni
fanatycy zakochani w swojéj przewrotności
i głupstwie. Poeta zostawia im jedną
przynaymniéj cnotę, jedno szlachetne
uczucie, które ich mimowolnie z rodzajem
ludzkim wiąże, które nie pozwala im
pogrążyć się w zupełną moralną ciemność,
i świecąc na dnie sumnienia, tém wyraźniéj
daje widzieć wszystkie jego szczerby i pla-
my. Ludzie Byrona mają sumnienie.
I tu jest główna różnica między naszym
autorem i pisarzami przeszłego wieku.
Przeszły wiek był sofistą, a więc nie znał
różnicy złego i dobrego, ćwiczył się tylko
w rozumkowaniu, i za cel sobie położył

ze wszystkiego wytłumaczyć się, a raczéj wygadać. Typem przeszłego wieku jest Panglos (*) Woltera. Ten Panglos, francuski Hiob, w największém spodleniu moralném, nie traci dobrego humoru; walając się w śmieciach, i wypluwając zęby, zawsze pyszni się i cieszy się, że był i jest filozofem. Ludzie Byrona gardzą taką sofisteryą, czują że są winni, cierpią; duma tylko nie dozwala im błagać przebaczenia, a czytelnik czuje że do poprawy brak im tylko — czasu, bo wszyscy zbyt rychło giną. Czytelnik pewny jest, że Giaur, ani Korsarz, ani nawet Don-Juan nie skończyliby jak Panglos, albo Foblas.

I sceptycyzm Byrona różny jest od téj obojętności na wszystko co jest wysokie i piękne, od téj zwierzęcéj nieczułości, którą sofiści ochrzcili sceptycyzmem, a która jest tylko dobrowolną głucho-ślepotą. Cała filozofia przeszłego wieku dążyła do tego, ażeby ludzi

(*) Po polsku: Wszystkomowny, albo Najjęzyczliwszy.

już pochlebstwem odwieść, już groźbą i śmiechem odstraszyć od poszukiwania prawdziwszych i zasadniczych, ażeby wmówić, że te prawdy albo są do pojęcia niepodobne albo niewarte dochodzenia. Byron pierwszy z poetów nie dał się zaspokoić taką sofistyczną kondemnatą myślenia i uczucia. Wielka zagadka świata, zagadka przeznaczeń rodu ludzkiego, przyszłego życia, stała mu zawsze przed oczyma. Poruszył on wszystkie zasadnicze pytania moralne i filozoficzne, pasował się ze wszystkiemi trudnościami dogmatów i tradycyi, klął i dąsał się jak Tytan Prometeusz, którego cień tak często lubił wywoływać. Nie rozwiązał sobie zagadnienia, nie uspokoił duszy; alež mu brakło równie jak jego bohatyrom — czasu! Może dlatego tylko nie sprawdziła się przepowiednia Walter-Skota.

Nie był tedy Byron kontynuatorem

przeszłego wieku; owszem powiedzieć można, że ruch umysłowy dążący ku sofisteryi, on jeden, na drodze literatury zatrzymał i wstecz zawrócił. Odgłos powszechny nazwał Byrona Napoleonem Poetów, również Napoleona uznano za jednego poetę Francyi. Wiele wieków minie, nim się znajdzie ręka która by jedno z tych berel dźwignąć mogła.

Uważano że w dwojakim sposobie sceptycyzm ukazuje się na świecie: raz jako mrok wilgotny i zimny, wróżący noc długą; drugi raz jako te chwilowe ściemnienie porankowe, połączone z powiewem orzeźwiającym, które zapowiada dzień. Byron wyobraża tę drugą epokę sceptyków niepewnych w swojem dążeniu, ale pełnych ducha i szczerości.

—.

Przemowa Autora.

Rozerwane ułamki niniejszego poematu, składa-
ją powieść o smutnych losach branki Muzułman-
skiej, która za niewierność ukaraną została spo-
sobem tureckim, utopiona w morzu, i której zgo-
nu pomścił się kochanek jej młody Wenecyanin.
Zdarzenia podobne trafiały się dawniej często
na Wschodzie, teraz rzadsze. Może kobiety
muzułmańskie nauczyły się więcej ostrożności,
może chrześcianie mniej są teraz pochopni do
śmiałych przedsięwzięć miłosnych, i mniej w
nich szczęśliwi. Zdarzenie które jest tre-
ścią naszej powieści odnieść należy do owych
czasów, kiedy wyspy Jońskie uległy pa-
nowaniu Rzeczypospolitej Weneckiej, kiedy

Arnauci na chwilę wyparci z Morei, znowu, po bezskutecznem wtargnieniu Moskalów, zaczęli ją plądrować. Wiadomo, że odstrychnienie się Majnotów, obrażonych tem że im zabroniono Mistrę rabować, ściągnęło nowe klęski na Grecyę. Kraj ten stał się naówczas teatrem okrucieństw, któ-rych przykład trudno znaleść, nawet w dziejach prawowiernego ludu Muzułmańskiego.

GIAUR.

Umilkły wiatry, ciche lśnią się fale
Przy grobowcowej Temistokla skale,
Która wyniosłem niebo czołem bodzie
I z góry patrząc na morza i smugi
Najpierwsza wita lądujące łodzie,
Kiedyż się zjawi Temistokles drugi?

* * *

Wyspy szczęśliwe! w każdej porze roku
Zarówno miłe i sercu i oku,
Gdy was przychodzień z gór Kolonny wita,
Wraz nagły urok źrenice mu chwyta,

Giaur

I myśl pogrąża w dumy tajemnicze.
Tu szklane morza cichego oblicze,
Na falach drobnych jak uśmiechu dołki,
Gór okolicznych odbija wierzchołki
Strzegące brzegów, z któremi łagodnie
Zdają się igrać rajskie wody wschodnie.
Jeśli się wietrzyk chwilowy prześliźnie
I złamie szyby na modréj płaszczyźnie,
I kwiecie z brzegu przyniesione miota,
Jakaż w tym wietrze woniа i pieszczota!
Tam na skał wierzchu, u cieniu powików
Błyszczy się róża sółtanka słowików
Jéj brzmią pochwały kochankowie leśni,
Ona rumieńcem dziękuje za pieśni.
Śliczna i skromna, królowa ogrodów,
Nie tknięta wichrem, nie zwiędła od chłodów,
Nie znając naszych zim niebezpieczeństwa,
Kwitnie świeżością wiecznego panieństwa.

GIAUR

Balsamy, których niebo jéj udziela,
W wonnych kadzidłach ku niebu odstrzela,
Niebo wzajemnie, codzień jéj użycza
Świetnych kolorów swojégo oblicza.
Tam, wpolu tyle jest kwiecia dla wianków,
Tam, w lasach tyle cienia dla kochanków,
Tam, groty dla nich ciosane umyśnie;
Dziś morski zbójca wte groty się ciśnie,
I nocą zmałéj czatuje galery
Na bezpiecznego żeglownika stery.
Skoro mięsięczna zabłyśnie pochodnia,
Zabrzmi gitara morskiego przechodnia;
Zbójca swój rudel zaraz na głąb pędzi
Zakryty cieniem nadbrzeżnych krawędzi,
Zahacza statek, zdobycze rozdziela;
Wrzask konających miesza pieśń wesela.

Dziwna! gdy kraj ten natura obrała
Na ogród Bogów, i hojnie nań zlała,

GIAUR

Tyle bogactwa, piękności tak wiele
Jakby we własnem zakochana dziele,
Dziwna! że dzieła własnego się zrzeka,
I dziś natura wpuszcza tu człowieka,
Który odwieczny miłośnik zniszczenia
Ogród Edeński nanowo wyplenia,
I jako leśny dzik kwiecie wytłacza
Nie pokropione znojami oracza
Ani znające ręki ogrodnika!
Tu kwiecie samo do koła wynika,
Za tyle wdzięków, za taką obfitość
Uprasza tylko człowieka o — litość.
Dziwna! tu ziemia oddycha pokojem,
A serce ludzkie, chucią i rozbojem.
Czyż kraje światła nanowo ogarnie
Noc namiętności rządzących bezkarnie?
Patrząc myśliłbyś, że tu zbuntowani
Wojsko aniołów zwalczyli szatani
I cherubinów trony dziś przywłaszcza
Ham, który piekieł wyzionęła paszcza;

GIAUR

Tak śliczny kraj, ten ojczyzna roskoszy,
Tak brzydki Turczyn co go dziś pustoszy!

Kto na śmiertelnem oglądał posłaniu
Piękne oblicze zaraz po skonaniu
Nim dzień przeminął, pierwszy dzień nicestwa,
Ostatni trudów i bolów jestestwa;
Nim śmierć ostatniem przyciśnieniem ręki,
Zgładziła rysy gdzie chronią się wdzięki:
Kto pomni twarz tę anielsko-łagodną,
Tak zimno piękną, tak smutnie pogodną!
Zda się w letargu zasypiać głęboko?
Zda się być żywą? — gdyby nie to oko!
Gdzie już nie świeci ni łza, ni namiętność,
Gdzie mieszka zimna, wieczna obojętność,
I straszy widzów i serca im studzi,
I z oczu trupa wpada w serca ludzi —
Gdyby niewzrok ten, nim pierwszy dzień minie,
Nim ta godzina — w tej jeszcze godzinie

GIAUR

Śmierć tak łagodnie, niewidomie władnie,
Że jéj tyraństwa nikt z razu nie zgadnie!

Dziś do téj twarzy Grecyja podobna,
Martwa oddawna, lecz dotąd nadobna;
Jéj widok ziębi, jéj wdzięk do łez wzrusza,
Bo już piękności nie ożywia dusza.
Jéj wdzięk jest tylko uśmiech pozostały
Na chwilę w ustach, co ducha oddały.
A jéj rumieniec, chorowita krasa
Która na trupich licach nie zagasa,
Ostatni odblysk zachodnich promieni
Co się wokoło ruiny czerwieni,
Ostatnie czucie co żegna nadzieję,
Iskra niebieska, która dotąd tleje
Lecz już swéj miłéj ziemi nie rozgrzeje.

Ojczyzno mężów nieśmiertelnéj chwały!
Każda dolina, każdy wierzch twéj skały!

GIAUR

Także pamiętne! bo każde z nich było
Kolebką swobód lub sławy mogiłą;
Arko potęgi! dziś czyliż tak mało
Czyż tylko tyle po tobie zostało?
Wstań niewolniku podły, wstań na chwilę,
Powiedz, ten wąwoz czy nie Termopile?
Ty z duchów orlich wyrodzony płazie
Na Leonida gnieżdżący się głazie,
Przypomnij, nazwij tych opok wyżyny,
Zatokę, wyspy — wyspy Salaminy!
Powstań! te dawne zapomniane boje
Odnów i przywłaszcz, to dziedzictwo twoje:
Z popiołów przodków, może wróg rozdmucha
Iskrę, zarodek ich wielkiego ducha.
A kto z was w boju żywota dokona,
Wliczy swe imie pomiędzy imiona
Na których wzmiankę, podchlebstwem pijani

GIAUR

Zwykli się trzeźwić, zwykli drżeć tyrani.
Kto z was ojczyzny zwięzów nie wybawi
Zginie, lecz tyle synom swym zostawi
Sławy, nadziei, że staną się zdolni
Rozerwać jarzmo, i umierać wolni!

Walka o wolność, gdy się raz zaczyna,
Z ojca krwią spada dziedzictwem na syna,
Sto razy wrogów zachwiana potęgą,
Skończy zwycięstwem — Grecyja jest księgą
W której wiekami stoi wypisano,
Że klęska wolnych jest świata wygraną.
Królowie, sławę kupując u cieśli,
Gdzieś bezimienne piramidy wznieśli;
Wolni niedbają chociaż czasu fala
Wszystkie grobowce i pomniki zwala,
Większe pomniki zostały nad niemi,
Zostały góry ich ojczystej ziemi.
Tam muza oczom przechodniów ukaże
Groby swobodnych, wolności ołtarze.

GIAUR.

Długoby mówić — przechodzić okropnie
Wszystkie od chwały do niewoli stopnie —
Dosyć jest wiedzieć — że nikt nie zagrzebie
Ducha swobody — chyba on sam siebie —
Bo własne tylko upodlenie ducha
Ugina wolnych szyję do łańcucha.

* * *

Mieszkańcy ziem tych! macież wy powieści
Dawnym podobne? i którychby treści
Natchnęły muzę do polotów szczytnych
W ślad muzy Greckiej wieków starożytnych.
Gdy budzie byli ziemi swojej godni?
Dziś do niczego nie zdatni — prócz zbrodni.
Z ognistą duszą, coby mogła siły
Natchnąć do dzieła godnego pomników
Dziś oni pełzną z kolebek w mogiły
Niewolni — gorzej — sludzy niewolników.

GIAUR

Zmazani całą szkaradą co brudzi
Niewiele wyższych nad zwierzęta, ludzi;
Nie mają nawet téj dzikich odwagi,
Piersi, gotowéj przyjąć oręż nagi;
Tylko rozwożą przez sąsiednie państwa
Z nowym towarem stare oszukaństwa;
W tém tylko widać Greków dowcip dawny
I z tego tylko Grek na wschodzie sławny.
Daremnie wolność tylekroć zaklina
Aby skruszyli jarzmo poganina,
By kark podnieśli zgięty łańcuchami!
Nie — Grecy — nie mam litości nad wami!

Przecież z Grecyi wziąłem te powieści
I czasów nie dawnych i żałośnéj treści.

* * *

Zdala, śród morza pogodnego błyska,
Szybko po cienie nadbrzeżne się wciska

GIAUR

Statek; rybacy poznali z obrotów,
Że to piratów statek lub majnotów;
Chcą z barką swoją w cieniach się przewinąć,
I brzeg nie pewny zdaleka ominąć,
Choć im trud dzienny osłabił ramiona,
Choć rybim łowem barka przeciążona,
Silnie wiosłują, rudel krzywią wstronę
Aż dopłynęli do Porto Leone,
Gdzie ich noc czeka, — noc prawdziwie godna
Kraju wschodniego — cicha i pogodna.

* * *

Kto tam grzmi konno po skalistej drodze?
Wygięty na przód, na wiatr puścił wodze,
Kopyt tętenty jak grzmoty po grzmotach
Wciąż budzą echa drzemiące po grotach.
Koń jak kruk czarny, a na bokach piana
Jak gdyby świeżo z morza szumowana.

GIAUR

Wieczor już uśpił fale morskich toni,
Ale nie serce tej dzikiej pogoni.
Groźnie na jutro niebo się zachmurza
Ale groźniejsza wsercu Giaura burza.
Nieznam cię, rodu twego nienawidzę,
Ale wtwych licach takie rysy widzę,
Które wpamięci kiedy się raz wrażą,
Z czasem się głębiey werzną, lecz nie zmażą.
Tyś młody, blady, lecz namiętne bole
Gorzały długo na twem smagłem czole.
Złe oko twoje choć mnie nie urzekło,
Choć jak meteor błysnąwszy uciekło,
Zgadłem że Turek takiego człowieka
Powinien zabić — lub niech sam ucieka.
Tam — tam — poleciał — śladem jego biegu
Szły mimowolnie oczy me wzdłuż brzegu,
A chociaż z taką szybkością prześcignął
Choć jak latawiec tylko wo czach mignął,

GIAUR

Jego wzrok, jego twarz nakształt pieczęci
Wciśnione czułem wgląb, mojéj pamięci.
I długo w uchu huk kopyt słyszałem
Czarnego konia lecącego cwałem.

Spiął ostrogami, wbiegł na wierzch opoki
Ocieniającéj głębinę zatoki,
Obleciał w koło, znowu nadół gonił,
Skałą od moich oczu się zasłonił.
Zgadłem dla czego — temu co ucieka
Jest obrzydliwą źrenica człowieka,
On najpiękniejsze na niebiosach gwiazdy
Klnie, że zdradzają ścieszki jego jazdy.
Zbiegając z góry nim konia nawrócił,
Spojrzenie straszne, jak ostatnie rzucił.
I wybiegł znowu, znowu w górę skoczył,
Wtém nagle stanął, konia wbok zatoczył,
I patrzy z góry, na strzemionach staje, —

GIAUR.

Czegóż on patrzy, tam, w oliwne gaje?
Xiężyc na nowiu wschodzi z za gór grzbietów
Błyszczą nad miastem lampy minaretów,
W mieście wre teraz Bairamu uciecha;
Tu choć nie dojdą ni wystrzałów echa,
Ni muzułmanów pobożne okrzyki,
Przecież błyski widać każdey tofaiki;
Bo dziś zachodzi słońce Ramazanu,
Dziś Bajram święcą wyznawcy Koranu,
Dziś — lecz ty Giauru kto jesteś? co znaczy
Twój ubiór obcy — i twój wzrok rozpaczy?
Co cię obchodzi Bajram? po co czekać
Naszego święta lub przed nim uciekać?
On stał — w tem nagły strach licami ścisn
I strach ten nagle wściekłością zabłysnął.
A blask ten niebył jak rumieniec nikły
Gniewów, co wschodzić i przemijać zwykły
Ale jak bladość marmurowey bryły

GIAUR

Powiększająca ciemnotę mogiły.
Brwi nawinione, osłupiałe oko:
Wtém rękę dźwignął i podniósł wysoko,
I na wiatr miotał, jakby groził gniewny.
Stał, czy uciekać czy gonić, niepewny;
A wtém koń zarżał niecierpliwy zwłoki,
I rżenie echem odbiły opoki.
Giaur za miecz porwał, i szczęk rękojeści,
Wybił go nagle z téj niemej boleści,
Jak zbójcę budzi krzyk sowy złowrogi;
Znowu koniowi wboki wraził ostrogi:
Dalej w cwał koniu, tu idzie o życie! —
Znowu koń czarny zagrzmiał po granicie,
Chyży jak dziryt — leci wzdłuż zatoki,
Dalej ku morzu — wpadł między opoki.
Nie widać twarzy — znikła strusia kita
Na chwilę grzmiące ucichły kopyta.
Raz tylko wstrzymał rumakowi wodze

GIAUR.

I nieruchomy, chwilę stał na drodze,
Chwilę — i znowu opoka zabrzmiała,
Giaur poleciał, jakby go śmierć gnała.

Straszna to chwila! w której duch rozkręci
Za jednym razem cały zwój pamięci,
I w jedną drobną kroplę czasu zleje
Życia bolesne i zbrodnicze dzieje!
Kto nienawidzi, kocha się lub boi,
Temu za piekło jedna chwila stoi.
Cóż on czuł wtenczas, gdy trapiące duszę
Wszystkie od razu wycierpiał katusze?
Chwila spoczynku, śród potoku zdarzeń,
Kto zliczy ile mieści wyobrażeń?
Bo choć dla czasu zdaje się nicością,
Ona dla myśli jest całą wiecznością.
Bo nieskończone, niezmierne cierpienie
Może w myśl jedną zgromadzić sumienie,
I w jednej chwili wycierpieć od razu

GIAUR.

Bole bez końca, nadziei, wyrazu!

* * *

Przeszła godzina — Giaur jak cień przeminął.
Uciekł? czy zginął? czy sam tylko zginął?
W czarnej godzinie przybył jak zesłana
Od niebios kara za grzechy Hassana,
Przyszedł i smętarz zrobił z Baszy domu,
Przyszedł, i odszedł, jak wicher Symomu,
Co wieje bożym obciążony gniewem
I za którego śmiertelnym powiewem
Cyprys umiera, choć jest śmierci drzewem,
Choć wiosną nawet nie zrzuca żałoby,
Jeden, co wiernie opłakuje groby!

* * *

Nie masz rumaków na stajniach Hassana,
Komnata jego od sług odbieżana,

GIAUR

Pająk samotnik, na ścianach się czepia
I szpary szarym całunem zaklepia.
W twierdzy Hassana nie widać żołnierzy,
W jego haremach gniazdo nietoperzy,
Zamiast strażnika puszczyk krzyczy z wieży.
W ogrody czasem dziki pies przybieży,
Spragniony wyje na suchą fontannę,
Stoją wód łoża z marmuru usłane
Lecz owdowiałe — bo zdroje wymarły,
Zielska się dzikie na dnie rozpostarły.

Niegdyś jak wdzięcznie fontanny tu grały
Łagodząc nieba wschodniego upały, —
Niegdyś tryskając srebrnej rosy tęczę
I fantastyczne wirując obręcze,
Rozkosznym chłodem rzeźwiły do koła
Powietrze, ziemię i spragnione zioła.

Jak było miłe blaski gwiazd pogodnych
Widzieć odbite na tych łukach wodnych,

GIAUR

Słuchać muzyki tych szemrań łagodnych!
Tu często Hassan w niemowlęcym wieku
Bawić się lubił u kaskady ścieku;
Tu drzemiąc cemu w matki swej objęciu,
Piastunka woda śpiewała dziecięciu.
Hassan młodzieniec, na te wodotryski
Poglądał, siedząc obok Odaliski,
I śpiew jej milsze zdawał się mieć tony
Gdy był do szmeru kaskad nastrojony.
Lecz Hassan stary, nigdy sennej skroni
Wieczorem u tej kaskady nie skłoni:
Z marmurów woda uciekła chłodząca,
Z serca Hassana wyszła krew gorąca.
Tu nie usłyszysz już głosu człowieka,
Nikt się nie śmieje, nie klnie, nie wyrzeka:
Ostatni ludzki głos echem odbity,
Była krzyk na śmierć ciągnionej Kobiety.
Głos skonał — odtąd milczą te pałace,
Wiatr tylko oknem otwartem kołace.

GIAUR.

Lecz choć wiatr szumi, choć się nieba chmurzą,
Już tu nikt okna nie zamknie przed burzą.

Cieszy się pielgrzym gdy w stępach odkryje
Ślady na piasku, chociaż nie wie czyje;
Tu gdyby ludzki jęk odbiły echa,
W jęku tym jakaś byłaby pociecha
Ten jęk by mówił, — nie wszystko skonało!
Jedno tu życie ludzkie pozostało.
Jeszcze w tych gmachach znalazłbyś wspaniałe
Izby i sale puste — dotąd całe.
Dach jeszcze cały, chociaż ząb zniszczenia
Rozłacza ciągle ściany i sklepienia.
Lecz zgroza siedzi przed bramą na straży,
Derwisz ubogi nie przestąpi progu
Za chleb i za sól podziękować Bogu;
Nędza i zbytek uchodzą na stronę
Nie powitane i nie ugoszczone;
Pałac, gościna wiernego narodu,

GIAUR

Stał się jaskinią zniszczenia i głodu.
Gość płacze dobrodzieja, płaczą słudzy pana
Od czasu gdy miecz Giaura ciął w turban Hassana.

* * *

Słyszę dźwięk zdala końskiego kopyta,
Jadą podróżni, lecz mnie nikt nie pyta.
Już bliżéj — Turcy — już widzę turbany
I w srebrem kutych pochwach atagany.
Wódz ich na przedzie w bogatym zawoju,
Zapewne Emir, bo w zielonym stroju.
— Ho! kto ty — Salem — waszéj jestem wiary
Emirze, widzę że wieziesz towary.
Widzę że wóz twój jest ciężko ładowny,
Ostróżnie wieziesz — musi bydź kosztowny.
Może do portu śpieszysz dla noclegu?
Jestem przewoźnik — mam łódkę u brzegu. —
Zgoda, rzekł Emir — pośpieszaj, czas nagli,

GIAUR

Odbijem cicho, nie rospinaj żagli,
Niech leżą zwite, wiosłami uderzay,
I szybko, cicho, pod nad brzegiem zmierzaj
I wieź nas prosto, pomiędzy opoki,
Tam, na sam środek najgłębszéj zatoki —
Teraz odpocznij — dobre masz ramiona,
Podróż i zręcznie i prędko skończona.
Lecz ona — zacznie podróż dalszą, z któréj…

………………………………………………

— Rzucili w wodę — ………………………

………………………………………………

Ciężko plusnęło — i powoli tonie —
Rosstąpiły się w koło szklane błonie,
Uważałem ciężar, dziwnie mi się zdało —
Ruszył się — pewnie morze nim ruszało.
Może to było xiężyca błyśnienie,
Nagle odbite o morza przestrzenie;
Patrzyłem ciągle, i wodne obręcze,
Wężniejsze i węższe ścieśniały się tęcze.

GIAUR

Jakby ich środkiem kamień przepadł do dna,
Nakoniec w środku, wyszła bańka wodna —
— Perłowe kółko — błysnęło — przepadło.
Znowu zatoka gładka jak zwierciadło.
I tajemnica usnęła w topieli; —
Geniuszowie morscy ją widzieli,
Lecz drżąc s przestrachu w swych domach s korali
Nic o tem z żadną falą nie gadali.

* * *

Jak Król motylów, za wiosny powrotem
Na skrzydłach jasnych purpurą i złotem
Z nad szmaragdowej kaszemiru błoni
Wzlatuje, dzieci wabiąc do pogoni,
I z ziół na zioła i s kwiatów na kwiaty
Ciągnie myśliwców i myli ich czaty,
Wreście uleci, i niknąc w obłoku
Zostawia żałość w sercu i łzy w oku:
Podobnie piękność wabi starsze dzieci,
Tak bystro lata i tak wdzięcznie świeci,

GIAUR

To łowców trwoży, to nadzieję mami,
Goniąc wesoło — łowy kończą łzami.
Lecz jeśli w ręce myśliwemu wpada:
I motylowi i piękności biada!
Chcąc uciec darmo skrzydełka natęża,
Igraszka dziecka, lub ofiara męża.
Cacko za którém żądza chciwie goni,
Straciło urok gdy je mamy w dłoni —
Gdy wdzięki barwy i świeżość przeminie,
Rzucim, niech leci — lub samotnie ginie.
Gdy skrzydła zranisz, gdy serce zakrwawisz,
Czyli ofiarom swobodę zostawisz?
Motyl odartém skrzydełkiem, czyż może
Latać jak dawniéj z kwiatków na róże?
S pięknością w jednej uwiędłą godzinie,
Czyż razem pokój na wieki nie zginie?
Zgraja motylów co pod niebem lata
Nie szuka w dole zranionego brata.
Płeć piękna dla nas ma litości tyle!
Lecz dla płci własnéj ma serce motyle,

GIAUR

Pięknosć nad każdem nieszczęściem łzy leje
Nad siostr upadkiem — tylko się zaśmieje.

* * *

Dusza brzemienna zbrodni swoych ciężarem,
Jest jak skorpion opasany żarem;
Krąg coraz mocniej zwęża się i błyska
I więźnia co raz gwałtowniej dociska,
Aż gdy go zewsząd, na wylot przepieka,
Skorpion cierpi, dąsa się — i wścieka. —
Jeden mu został sposób wyjść z pożogów,
Ma żądło które wyostrzył na wrogów,
Które trucizną pewną rany poi,
Jeden ból zada, i wszystkie wygoi,
To żądło, więzień topi w głowie swojej.
Podobnie dusza zła kona w cierpieniach,
Lub żyje jako skorpion w płomieniach
Bo kiedy ludzi zwiąże pamięć zbrodni,
Światu nie zdatni, a nieba nie godni,
Rozpacz nad nimi, pod nimi noc gruba,

GIAUR

W koło płomienie — a w pośrodku zguba.

* * *

Ponury Hassan z haremu ucieka,
Przeszczęt, widoku kobiet się wyrzeka.
On w lasach trudy myśliwców podziela,
Ale nie może dzielić ich wesela. —
Dawniej polować nie miał we zwyczaju,
Póki Leila mieszkała w seraju.
Dziś czy Leila uszła? czy nie żyje?
Hassan wie tylko, lecz sam w sobie kryje.
Różne powieści krążą między gminem —
Słychać że uszła z Wenecyjaninem.
W dzień Ramazanu, gdy zapadło słońce,
A z minaretów jasnych lamp tysiące
Bajram na całym obwieściły wschodzie,
Leila poszła kąpać się w ogrodzie,
I nie wróciła — szukano daremnie.
Mówią że z Giaurem zeszła się tajemnie,

GIAUR

Wsiadła z nim na koń za pazia przebrana
I w noc Bajramu zbiegła s państwo sułtana.

Oddawna Hassan miał ją w podejrzeniu;
Ale w jéj oczach i w jéj uściśnieniu
Tyle wyczytał miłości i wiary,
Że znowu brance zaufał Pan stary.
Wieczorem poszedł w meczet na pacierze,
I w noc Bajramu jadł w kiosku wieczerze.
Tak powiadali czarni niewolnicy,
Niewierni pańskich haremów strażnicy.
Lecz inni głoszą, że gdy padł mrok szary,
Przy bladém świetle wschodzącéj Tingary,
Widziano Giaura na czarnym rumaku
Wcwał lecącego po nadbrzeżnym szlaku,
S cuglem spuszczonym, skrwawioną ostrogą,
Lecz nie wiózł panny, ni pazia — ni kogo.

* * *

Oko jéj czarne — i ktoż się ośmieli

GIAUR

Wzrok ten malować? te oczy gazeli
Wielkie i słodkie, ciemne i błyszczące!
Dusza z nich mówi przez iskier tysiące,
Które ze źrenic lecą przezroczystych
Jako z Dżemszyda rubinów ognistych.
Dusza z nich mówi! wbrew słowom proroka,
„Że postać niewiast jest ziemi powłoka" —
Allachu! dusza mówi z tego oka!
I choćbym w drodze ku lepszemu światu
Przechodził ostre mosty Alsyratu,
Wisiał nad piekła ognistym potokiem
I cały rajski ogród miał przed okiem
I w nim wabiące hurysy dziewice,
Powiem: kto widział Leili źrenice,
Ten Alkoranu nauk nie usłucha!
Czyż taka piękność jest prochem bez ducha?
Jest cackiem z którem bawi się mężczyzna?
Niech na nię spójrzy sam Mufty, a wyzna

GIAUR

Że nieśmiertelność wygląda z jéj źrenic.
Na jéj obliczu cudowny rumieniec
Wiecznym i świeżym błyszczy się szkarłatem,
Jakby granatów posypany kwiatem.

Jéj włosy jako hijacynty płyną;
Gdy okolona rówiennic drużyną,
Stanie nad wszystkie głową wyniesiona,
I da warkoczom płynąć przez ramiona.
Włosem zamiata ślad swój na marmurach;
Ślad nóżki bielszéj niżli śniegi w gorach,
Kiedy z rodzinnych obłoków wylecą
I ziemią jeszcze nie skalane świecą.
Jako Monarcha ptaków Frangestanu
Łabędź, podnosi głowę z oceanu
I pysznie skrzydłem uderza po fali
Skoro dostrzeże podróżnika w dali,
I taką powagą ona zwraca głowę,
I śnieżne ramie i piersi perłowe,

GIAUR

I stałą piękną dumą wzrokiem miota,
Gdy na nię oczy śmie zwrócić pustota,
Łośną się blasku wytrzymać nie mogą,
Pochlebiać chciały, upadają s trwogą.

Jak była oczom piękną Gruzjanka,
Tak miała serce czułe dla kochanka.
Kochanka? któż jéj kochanek? Hassanie,
Ty nim nie jesteś dziki muzułmanie.

* * *

Ponury Hassan dał rozkaz podróży;
Oddział wassalów, co mu wdworcu służy,
Jak orszak i straż pojedzie za panem;
Każdy z janczarką, z łukiem, z ataganem.
Hassan sam zbrojny, jedzie naich czele,
Zwiesił na pasie krzywą karabelę
Wyprabowaną na Albańskich głowach,
Kiedy raz zbójców napotkał w parowach
I tak rozgromił muzułman zwycięski;

GIAUR

Że ledwie kilku uszło z wieścią klęski.
Za pas dwa zatknął, bogato oprawne
+ W perły i w złoto, pistolety sławne:
Hassan przed laty dostał je od Baszy,
Ich widok zbójców i wabi i straszy.
Mówią że Hassan jedzie pojąć żonę,
Pocieszyć znowu serce zakrwawione
Zdradą Leili, co uszła z haremu,
I dziś, o zgrozo! służy niewiernemu.

* * *

Ostatnim blaskiem zachodniego słońca
Złocą się góry i kaskada grzmiąca
Zywiona czystym i świeżym gór śniegiem.
Tu często kupiec Grek staje noclegiem,
Znajdując pokój w ustroniu głębokiem
Pewniej niż w mieście pod swych panów bokiem;
Tu się nie lęka o całość swej skrzyni;
W miastach niewolnik, wolny na pustyni.
Tu wesół wypróżnia czaszę pełną wina

GIAUR

Którem się brzydzą usta moslemina.

Najpierwszy jedzie Tatar wódz orszaku,
Zdaleka widny pod żółtym kołpaku,
O padał konni ciasną jamy szyję
Po krętej ścieszce na skałę się wiją.
Nad nimi sterczą w górę czarne szczyty,
Gdzie sępy ostrzą dzioby ogranity,
I leca nadół; już zwietrzyli łupy;
Nim zajdzie słońce, będą świeże trupy.
U spodu rzeka która wzimie bucha
Ogromną wodą, a wupały sucha
Nagie i czarne łono swe odsłania,
I kilka kaskad srebrzystych pochłania.
Wokoło ścieszki, kawały granitu
Leżą bezładnie strącone ze szczytu.
Czas je popychał, albo zbiły gromy.
Wierzch skały niknie we mgle niewidomy.
Bo żaden z ludzi czoła Liakury,

GIAUR

W pogodę nawet nie widział bez chmury:

Już w gaj wjechali, i po kilku chwilach
Dojdą wierzchołka; już krzyczą „Bismillach
„Tu już bezpiecznie, stąd już widać błonie,
„Wkrótce w dół zjedziem, na wiatr puścim konie."
Gdy Czausz tak mówił – ogień z góry błysnął,
Nad uchem ołów niewidzialny świsnął,
Tatar przewodnik wyleciał s kulbaki,
Ledwie czas mają zatrzymać rumaki,
Skoczyli s siodeł, janczarki odwiedli,
Ale trzech spadło pierwej niżli z siedli;
Z rąk niewidzialnych rany odbierają,
I ginąc, darmo o zemstę wołają.
Dobyli szabel, na rumaków karkach
Na odwiedzionych wsparli się janczarkach,
Na pół ociśnieni między końskie boki;
Inni uciekli pod ścianę opoki,
I tam ręcznego czekają spotkania

GJAUR

Nie lubiące służyć za cel do strzelania
Wrogom, co bronią nie widzialną rażą
A wstępnym bojem spotkać się nieważą.

+ Sam Hassan został; z konia ssiąść nieraczy,
Spokojnie jedzie, aż z przodu obaczy
Blask ręcznej broni; rozbójników zgraja
Strzela wzdłuż drogi, sprzodu się zaczaja,
+ I z tyłu słychać z janczarek łoskotu,
Że mu przecięto drogę do odwrotu.
Więc wściekły brodę od gniewu najeżył,
I w koło wzrokiem ogniстym uderzył.
„ Choć wrogi w koło, choć gęste wystrzały,
„ Jam z krwawszych bitew nieraz wyszedł cały."
Zbójcy wychadzą, stają na skał szczycie,
„ Rzucaj broń, krzyczą, komu miłe życie," —
Ale Hassana oczy i rozkazy
Straszniejsze niżli nieprzyjaciół razy,
I z garstki szczupłej, ale wiernej panu,

GIAUR

Żaden nie rzucił swego ataganu,
I żaden padłe nie krzyknął « amanu. » —
Nieprzyjaciele coraz bliżej godzą,
Razem ze wszystkich zasadzek wychodzą,
A z gęstwi lasu, dowódca? strójnosi Albański,
Ale miecz prosty, miecz to chrześciański.
« Znam go, znam Giaura, wściekły Hasan woła,
Znam go, poznałem ze smagłego czoła,
Poznałem czarne złowragie źrenice,
Tego nikczemnej zdrady pomocnice,
Konia czarnego znam, choć leci pędem,
Chociaż nakryty Arnautskim rzędem.
Podły odstępco twojéj podłéj wiary!
Teraz cię turban nie zbawi od kary,
Gdziemkolwiek spotkał, w jakiéj kolwiek chwili
Dobrze żem spotkał zdrajcę méj Leili. »

Jak się wezbrana rzeka w morze leje,
I morską burzę spotkawszy szaleje,

GIAUR

Łamią się fale, drżą opoki brzegu,
A nurty ryczą pod pianami śniegu;
Tak się spotkały wrogów zgraje obie,
Losem i gniewem gnane przeciw sobie;
Szable nad łbem grzmią lecąc w kawały,
Huczą po skałach dalekie wystrzały;
Harcia się łoskot i karabel dźwięki,
Huk karabinów, konających jęki,
Echo żałosne po dolinie szerzy,
Przywykłej tylko do śpiewów pasterzy!
Liczba nie wielka, lecz bitwa straszliwa,
Nikt przebaczenia ni daje, ni wzywa.
Paro kochanków, mocne są twe sploty
Gdy się ściskacie podzielać pieszczoty!
Lecz nie tak cisną miłości ramiona
Gdy w nich spoczywa piękności ulubiona,
Jako się barki zwiążą nienawiśnie,
Kiedy wróg wroga, ostatni raz ściśnie.—
Przyjaźń ostygnie, pieszczota się skończy,

GIAUR

Obięcia wrogów i śmierć nie rozłączy,
Szablą po samą rękojeść uciętą
Krwią opryskaną, i mocno ujętą
W sinej od ciała odrąbanej dłoni
Co jeszcze drgała niepuszczając broni;
Obok turbana, którego zawoje
Miecz Giaura zerwał i przerznął na dwoje;
W delii długiej, zmiętej, rozpostartej,
Od mnogich razów na sztuki podartej,
Zaczerwienionej, jak chmury przed burzą
Gdy po dniu jasnym burzliwą noc wróżą;
Krwią zlawszy piasek i gałęzie boru,
Gdzie wiszą szmaty jego palamporu;
Z piersią przebitą i otwartą ciosom,
Barkami na wznak, twarzą ku niebiosom,
Tak leżał Hassan — oczy już zbielały
Jeszcze otwarte, Giaura wyzywały,
Giaur stanął nad nim i w Hassana lice
Utopił równie straszne dwie źrenice.

GIAUR

— Tak! tyś pochował w falach mą Leilę,
Jam cię pochował w czerwonej mogile.
Jéj duch kierował mieczem; jéj morderca
Uczuł raz pierwszy, co to jest ból serca;
Proroka wołał, ale nadaremnie,
Prorok twéj głowy nie wyrwie spode mnie.
Allacha wołał, wiatr prozbę rozdmuchał
Allach niesłyszał, albo niewysłuchał.
O psie pogański! czyż Opatrzność głucha
Na krzyk Leili, twych krzyków usłucha?
Zbójcą zostałem! jeździłem na wzwiady,
Aż w końcu zdrajca padł ofiarą zdrady,
Tam spełnił swoje, zemścił się nad tobą.
A teraz, daléj — w świat — jadę sam z sobą. —

* * *

Na polu słychać brzęk dzwonków wielbłąda;
Matka w ogrodzie z altany wygląda.
Na łąkach błyszczy już wieczorna rosa,
Już ku wschodowi ciemnieją niebiosa.

GIAUR

I rozniecają drżących gwiazd ognisko.
Już wieczor. — Hassan zapewne już blisko.
Matka stroskana, s stępuje i bieży
Do swych haremów, i pogląda z wieży;
Nie widać! niezwykł jeździć tak pomału —
Niezwykł popasać nawet w czas upału.
Nie przysłał darów ślubnych — czy się lenił?
Czy konie strudził? czy serce odmienił?
Skarga nie słuszna — Już Tatar posłaniec
Widny z daleka, już na skały kraniec
Wstępuie zwolna — już zjeżdza z urwiska
I wąwozami na dół się przeciska.
Koń nic nie winien, koń pewnie s ciężarem,
Zapewnie ślubnym objuczony darem.
Tatara mile przyjmę i nagrodzę
Za prędką jazdę po takiej złej drodze.

W bramie osiadł Tatar, od siodła odpina
Juki nie wielkie; czy to dary syna?

GIAUR

Na twarzy smagłej bladość; czy to smutek?
Czy podróżnego utrudzenia skutek?
Odzież opryskana krwi świeżej kroplami;
Może poranił konia ostrogami?
Rozwinął pakę — o aniele święty!
O Azraelu! to zawoj rozcięty!
To syna szaty całe krwią zbroczone.
„Pani, okropną twój syn pojął żonę,
Mnie oszczędziły ręce poganina
Bym ci pokazał krew twojego syna.
Legł śmiercią mężnych, pokój Hassanowi!
Przekleństwo wieczne zabójcy Giaurowi„ —

* * *

Turban w kamieniu prostym wyrzezany,
I słup już dzikiem zielskiem opasany,
Na nim z Koranu modlitwa wyryta,
Którą dziś ledwie podróżny wyczyta:

GIAUR

To cały pomnik, w bezludnej ustroni,
Gdzie Hassan zginął od niewiernej broni.
Zacny Osmanlis; nikt między wiernymi
Przykładniej świętej nie nawiedził ziemi,
Nikt bardziej winem niegardził wyklętem,
I nikt pobożniej ku przybytkom świętym
Twarzy nie zwracał, gdy na świątyń dachu,
Słyszał wołanie Illa – hu – Alla – hu

Z rąk cudzoziemca wziął śmiertelne rany,
I śród ojczyzny leży jak wygnany,
Zdala od domu, na bezdrożu dzikiem;
Ani się pomścił nad swym rozbójnikiem.
Lecz duch Hassana już rajskie dziewice
Wiodą w roskoszy wiecznej okolice,
Okiem błyskają ku niemu jak słońcem,
Wiecznie pogodnem i nie zachodzącem.

GIAUR

Biegą, zielone chustki wywijają,
Pocałunkami rycerza witają;
Bo raj roskoszy zgotowany temu,
Kto zginął walcząc przeciw niewiernemu.

Lecz ty niewierny! ciebie anioł śmierci
Monkir swą kosą rozerwie na ćwierci,
Potém zawlecze na nowe katusze
Przed tron Eblisa, twą przeklętą duszę.
Tam ogień, wiecznych męczarni narzędzie
Ciało twe palić, w duszy gorzeć będzie;
Słuch nie obejmie, język nie obwieści,
Ile się piekła wewnątrz ciebie zmieści.

Lecz wprzód zostaniesz na ziemi upiorem;
I trup twój z grobu wyłażąc wieczorem,
Pójdzie nawiedzać krainę rodzinną,
Powinowatych, spijać krew niewinną.
Tam na rodzeństwo własne zajuszony,

GIAUR

Wyssiesz krew swojéj siostry, córki, żony;
Ścierw twój zasilisz cudzym życia zdrojem,
Chciwie pić będziesz, brzydząc się napojem.
A twe ofiary rozstając się z światem
Poznają, że ich ojciec był ich katem;
Przeklną cię, twoje usłyszą przekleństwa;
I na pniu wyschnie szczep twego rodzeństwa.
Ostatnia twoja ofiara na świecie
Będzie twa córka, najmilsze twe dziecię
Ona konając, krzyknie na cię – „ojcze!" –
I krzyk ten ścieśnie usta dzieciobojcze,
Ale ssać muszą, dopóki się żarzy
Ogień w źrenicach, rumieniec na twarzy,
Aż ujrzysz w końcu, jak szklana powłoka
Zamrozi, zaćmi ostatni blask oka.
Nateńczas ręką przeklętą z jéj głowy
Oderwiesz włosów warkocz bursztynowy;

GIAUR

Z tego warkocza pukiel darowany,
Może na sercu nosi jéj kochany,
A ty dziś w piekle złożysz jego szczątki,
Jak samobójstwa twojego pamiątki.
Krwią twoją własną, naymilszą ociekły
Gryząc twe usta i zgrzytając wściekły,
Wrócisz się znowu pomiędzy grobowce;
A tam upiory, twoi współwędrowce
Gule, Afryty, spotkają cię w mroku,
I oni twego zlękną się widoku
I do podziemnych skryją się otworów
Spotkawszy widmo, brzydsze od upiorów.

* * *

Jak się ten zowie Kalojer ponury?
Twarz mnie znajoma — raz go napotkałem
W ojczyźnie mojéj: leciał między góry
Na dzielnym koniu, pominął mnie cwałem,

GIAUR

Leciał jak tylko zdoła koń wyskoczyć,
Oblicze jezdca ledwie mogłem zoczyć —
Lecz widać było s twarzy i wejrzenia,
Że go opętał duch złego sumnienia.
Niechciałbym nigdzie zdybać takiej twarzy,
Bo złą jest wróżbą spotkanie zbrodniarzy.
I teraz strasznie wygląda ten człowiek,
Jak gdyby śmierć mu patrzyła spod powiek" —

— Sześć lat minęło, jak przybył w te strony,
Wszedł do klasztoru, czy światem znudzony,
Czy za grzech jakiś pokutę odprawia,
Ale przed nikim grzechu nie objawia.
Nigdy on w ławkach podczas mszy nie siedzi,
Nie chadził ani razu do spowiedzi,
Ani się kłania przed Bogarodzicą,
Ani przed ołtarz idzie s kadzielnicą;
Dni całe siedzi zamknięty w ukryciu.

GIAUR

Niewiem o jego przygodach i życiu,
Słyszałem tylko, że przybył ze wschodu
Tureckim statkiem od stron Carogrodu,
Żeby był Turkiem z twarzy się nie zdaje,
Zna chrześcijańską mowę i zwyczaje —
Pewnie skruszony jaki Apostata
Dziś opłakuje przeszłe błędów lata.
Tylko że świętych obrazów się lęka,
Przed Pańskim chlebem i winem nie klęka.
Dał wielki skarbiec, który może złupił
I tem gościnność w Klasztorze zakupił.
Lecz gdybym ja był na miejscu Przeora,
Albobym wygnał tego Kalajora,
Albo w pokutnej zamurował celi
Tak żeby o nim ludzie nie wiedzieli.

Często on marzy, bez przytomnie gada
O pięknej pannie, która w morze wpada
Słyszy szczęk mieczów, strzały nad opokę,

GIAUR

I widzi Turka konające oko.
Ilekroć na tym wierzchu skały stawa,
Grozi mu zdołu jakaś ręka krwawa, —
On sam ją widzi, i czyja, pamięta;
Ręka pałaszem od ciała odcięta,
Wystaje z ziemi i kiwa nań w dali,
Ażeby skoczył ze skały do fali.

* * *

Spod mnichowskiego czarnego kaptura
Swieci jak z grobu źrenica ponura,
Czasem z ukosa błyskawicę ciśnie,
I całą burzą dawnych lat zabłyśnie;
Barwa tych oczu co chwila się mieni,
Chcą ją uważać widzowie zdziwieni,
I wnet uczują ten urok spojrzenia
Wymowny, trudny do wypowiedzenia,
Cechę umysłu, co niezgięty w dumie

GIAUR

Zna swoję wyższość, i pokazać umie.
A jako ptaszek, gdy go wąż urzecze
Trzepioce skrzydłem, ale nie ucieczę;
Tak widz użęty w sidła jego wzroku
Chce i nie może rozerwać uroku.
Przed nim w pół trwożny braciszek umyka,
Kiedy samego przypadkiem spotyka;
Bo on swym wzrokiem i gorzkim uśmiechem
Zaraża wszystkich boleścią i grzechem,
Przecież zbyt rzadko uśmiechać się raczy,
Smiejąc się, tylko urąga rozpaczy.
Poruszy usta, i drżące wnet przytnie;
Widać że radość już w nich nie zakwitnie,
I że uczucie wzgardy i niedoli
Już nigdy szczerze śmiać się nie dozwoli.
I tak też było — trupie jego śmiechy
Nie są poczęte z serdecznej uciechy.
Okropne lica! jakież być musiały,

GIAUR

Kiedy zamłodu namiętnie gorzały?
Wiek jeszcze wszystkich rysów nie pozgładzał,
Tylko szpetnemi piękne poprzegradzał;
Jeszcze niekiedy rumieniec w nich pała,
Znaczno że dusza nie całkiem sczerniała.
Gmin widzi tylko w tém posępném oku,
Świadectwo zbrodni i pieczęć wyroku;
Pilniejszy badacz odgadnie z wejrzenia,
Wielkość umysłu, zacność urodzenia,
Dary niestety zbyt źle umieszczone,
Skalane zbrodnią, smutkiem przetrawione.
Był to przybytek nie podły, nie mały,
Gdy w nim tak wielkie zalety mieszkały;
Dziś został pustym, lecz poważnym gmachem,
Ludzie nań lubią poglądać ze strachem.

Chaty bez dachów w pustkach, widzi codzień
I rzadko do nich zagląda przechodzień;

GJAUR

Lecz wieża legła w szturmie albo w burzy
Co się czarnemi ruinami chmurzy,
Wzbudza podróżnych dumania i żale;
Złamane łuki, opuszczone sale
Wiele o dawnej powiadają chwale.

* * *

W długiej kapicy fałdy obwinięty
Z cicha przez kolumn przesuwa się rzędy,
Straszny patrzących, i sam strachem zdięty
Staje i patrzy na święte obrzędy;
Lecz gdy się ozwał u ołtarza dzwonek,
Xięża uklękli, cofa się w przysionek.
Tam przy niepewnym pochodni promieniu
Twarz jego blada połyska się w cieniu
Tam będzie czekał aż się nieszpór skończy,
Słucha śpiewania, lecz głosu nie łączy.
Patrz! tam cień rzuca na bielone ściany,

GIAUR

Kaptur opadły, i włos rozczochrany
Gęsty i czarny bezładnie się wije
Jakby Gorgona swe najbrzydsze żmije
Wyrwawszy z głowy, splotła mu na skronie;
Bo ten kalajor choć mieszka w zakonie
Śluba nie zrobił, więc nie strzyże głowy,
I nosi włosy jak człowiek światowy.
Kapicę przywdział jako inne mnichy;
Dał skarb na kościół lecz zapewne s pychy
Nie s pobożności, hojnie kościół nadał
W którym ni razu pacierza nie gadał,
Tam — patrz na niego — w dzwonek uderzono,
Wszyscy uklękli, Sakrament wzniesiono,
Stoi jak posąg, i widać s postawy
Wyraz rozpaczy, wzgardy i obawy.
Ratuj nasz Kościół, o święty Bazyli!
Bośmy na karę bożą zasłużyli;

GIAUR

Żeśmy takiego grzesznika wpuścili!
Jeżeli zły duch czasem sobie sprawia
Człowieczą postać, on tak się objawia:
Te oczy jego, na słowo kapłańskie
Nie są, niebieskie, ni ziemskie — szatańskie!

* * *

Serce zbyt czułe, do kochania skłonne;
Lecz nie zna co to kochanie dozgonne,
Długie cierpienia dzielić siły nie ma,
Długich z rozpaczą walk nie wytrzyma;
A twarde serce gdy miłość skaleczy,
Téj rany nigdy już czas nie uleczy.
Jako rodzimy kruszec od płomienia
Wprzód się rozżarza niźli zaczerwienia,
Wrzucony w pieca płomieniste jamy
Zgina się; miększy, lecz zawsze ten samy;
A potém wedle sztukmistrza rozkazów

GIAUR

Służy do dania lub odbicia razów,
Albo pierś twoję przed śmiercią zastawi
Albo pierś wroga śmiertelnie zakrwawi.
Lecz gdy raz śmierci ukuto narzędzie
Ten kto je ostrzy niech ostrożnym będzie!
Tak ogień uczuć i sztuka kobieca
Najtwardsze serca zmiękcza i roznieca.
Lecz raz nagięte, zmianom nie ulegnie,
I pierwiej pęknie, niźli się odegnie.

* * *

Jeśli cierpiących samotność ogarnie
Przerwa mąk, tylko powiększa męczarnie,
Pusta pierś czując otchłanie do koła
Chce je zaludnić i o boleść woła,
Bo nie dzielone każde czucie nudne,
I szczęście samo do zniesienia trudne!
Serce w cierpieniach gdy samotność widzi,

Giaur

Chcąc mieć pociechę wszystkich znienawidzi,
I jest to serce jak człowiek w mogile
Gdyby z letargu zbudził się na chwilę,
I czuł z wzdrygnieniem że robactwo toczy
Odżyłe jego oblicze i oczy,
I nie miał siły bronić swych wnętrzności
Od tych szkaradnych niespodzianych gości;
To serce jest jak Pelikan, gdy leci
Przez obszar pustyń, do gniazda, do dzieci
Krew swą gotowy na żywność im przelać,
Życie z głodnemi nie skąpy podzielać;
Już dziobem piersi rozranił szlachetne,
I widzi tylko swe gniazdo — bezdzietne.
Najsroższe męki które nędzni znoszą,
Samotnej duszy zdają się roskoszą,
Sierocej, stepem otoczonej dzikim
Trawiącej czucia nie dzielone z nikim.
Któżby był niebios ciekawy widoku

GIAUR

Bez słońca i bez żadnego obłoku?
Lepiej jest płynąć choć się niebo chmurzy,
Niż morskiej nigdy już nie doznać burzy,
I gdy żywioły zakończyły wojnę
Być wyrzuconym na brzegi spokojne
W pustą zatokę i bez towarzyszy,
Późnego zgonu czekać w wiecznej ciszy;
Lepiej raz przepaść w zaburzone fale
Niżli żyć gnijąc potrochu na skale.

* * *

„Tyś dni twe przeżył, ojcze spowiedniku,
Licząc różańce, prawiąc msze bez liku,
Za cudze zbrodnie błagając gniew boski,
A sam nie znając zgryzoty ni troski,
Prócz smutków krótkich zwyczajnych w tém życiu;
Siwy, spokojny jak byłeś w powiciu!
Przeraża ciebie walka uczuć dzika

GIAUR

Ilekroć zajrzysz w serce pokutnika,
Choć jego skargę, jego łzę żałosną
Przyjmujesz w duszę czystą i litosną.
Moje dni krótkie na płaczu padole,
Obfite w roskosz, lecz płodniejsze w bole —
Przecież pomiędzy roskosze i trudy,
Przeszedłem życie nie doznawszy nudy;
Na ucztach, w bojach, s kielichem, s kindżałem,
Zawsze spokojność gnuśną pogardzałem.
Dziś nic nie kocham ani nienawidzę,
Pychy nie czuję, nadziei nie widzę;
A dzisiaj jeszcze wolałbym bydź gadem
I pod klasztorem pełzać strasząc jadem,
Niż być wskazanym w cichym mniszym stanie
Na modlenie się i na rozmyślanie.
Przecież spoczynku nadzieja mnie łechce,
Chciałbym mieć pokój, ale go czuć nie chce.

GIAUR

Wkrótce się wszystko skończy tak jak życzę,
Zasnę w mogile nie marząc czem byłem,
Choć moie życie zda się tak zbrodnicze,
Gdybym mógł odżyć żyłbym tak jak żyłem.
Dziś w mej pamięci, jak w ciemnej mogile,
Leżą już zmarłe mych roskoszy chwile,
Lepiejby dawno leżeć razem z niemi,
Niż ciężką włóczyć tęsknotę po ziemi.
Nigdy mój umysł nie upadł na męstwie
W długiem i strasznem żywota męczeństwie,
Sam dobrowolnie w grób się nie położę,
Tak dawni głupcy, lub dzisiejsi tchórze.
Ze śmiercią nie raz spotkałem się z bliska;
Chętnie bym poległ śród pobojowiska,
Gdybym rycerskim mógł oddychać szałem
I kochał sławę, jak piękność kochałem.
Lecz jam nie walczył dla oklasków gminu,

Giaur

Nie dbam o zdobycz lub stratę wawrzynu,
To innych dzieło; niech rzną się żołdacy,
Dla wielkiej sławy lub nikczemnej płacy.
Ale mnie dzisiaj jeszcze niech poruszy
Przedmiot prawdziwie godny mojej duszy,
Niech mam przed sobą kochankę lub wroga;
Choćby mi groził i miecz i pożoga,
Gdy serce mścić się lub bronić rozkaże,
Na miecz i ogień jeszcze się odważę,
Bo mężny na śmierć ze wzgardą poziera,
Nędzarz jej pragnie, tchórz się jej wydziera.
Kto mi dał życie, niechaj je odbiera:
Ja śmierć bez trwogi spotykałem nieraz
Gdym był szczęśliwy i dumny — a teraz?

Kochałem Ojcze — o nie — ubóstwiałem —
Lecz to są słowa, słowo często kłamie —
Ja miłość moją czynem pokazałem:

GIAUR

Przypatrz się rdzawej na tym mieczu plamie,
To jest krew dawna, dotąd się nie starła,
Przelana dla Téj co dla mnie umarła.
Krew ta dobyta z serca mego wroga,
Nie trwoż się księże, nie wznoś rąk do Boga,
Za grzech zabójstwa nie lękam się kary,
Wróg mój był także wrogiem twojéj wiary.
Samo wspomnienie o Maryi synie,
Już obudzało złość w tym poganinie.
Słysiec niewdzięczny! bo jeżeli rana,
Jeśli śmierć ręką Chrześcian zadana
Jest Turkom kluczem rajskiego ogrojca,
Tedy do raju wysłał go zabójca.
I teraz może Hurys czarnooka
Witać Hassana u bramy Proroka
Kochałem — miłość często drogę znajdzie
Tam nawet kędy głodny zwierz nie zajdzie.

GIAUR

A miłość taka śmiała na przygody,
Czyliż by miała zostać bez nagrody?
Gdzie? kiedy? po cóż mam głosić przed światem?
Byłem szczęśliwy w miłości — dość na tem.
A przecież często żałuję — daremnie! —
Wolałbym niebyć kochany wzajemnie.
Ona umarła — jak? o to niepytaj;
Jeśli śmiesz sam to odgadnij, wyczytaj,
Bo tu wyryte noszę na mem czole
Kaina pismem — me zbrodnie i bole.
Ale mnie nie klnij — posłuchaj — ja byłem
Przyczyną śmierci — lecz nie ja zabiłem.
Mógłbym i śmiałbym to samo uczynić,
Gdyby kochanka śmiała mi przewinić. —
Temu niewierna — więc on ją pochował —
Mnie była wierną — jam go zamordował.
Choć śmierć jej była zasłużoną karą,

Giaur

Lecz jéj niewierność była dla mnie wiarą,
Bo mnie oddała serce, skarb sieroty,
Jedyny, którym nie rządzą despoty.
Ach! poźnom przybył, nie mogłem jéj zbawić,
Mogłem jéj tylko małą ulgę sprawić,
Mogłem wślad za nią jéj wroga wyprawić,
Jego śmierć lekka — ale jéj męczeństwo
Było dla myśli mych takiem straszydłem,
Że w końcu ludziom i sobie obrzydłem.

On zginął słusznie — zrządzeniem wyroków,
On wiedział o tem od swoich proroków,
Których słuch wieszczy śmierć przeczuwa wdali
I słyszy wystrzał wprzód nim broń wypali,
Zginął śród bitwy, zgiełku i hałasu,
Bez mąk, bez bolu — cierpieć nie miał czasu.
Raz tylko wezwać Mahometa zdołał,
Raz tylko w niebo o pomstę zawołał.

GIAUR

Poznał mnie w tłumie, lecieliśmy cwałem
On padł — długo nad leżącym stałem,
I duszy jego wyjścia pilnowałem.
Konał jak tygrys pokłóty od szczwaczy,
Lecz nie czuł tego co czuję — rospaczy.
Szukałem w licu sinem, krwią nabiegłem
Znaków boleści, — żadnych nie dostrzegłem.
Rysy śmiertelną okryte ciemnotą
Jeszcze wściekłością tchnęły — nie zgryzotą:
Cóżbym dał za to, gdybym w jego twarzy
Mógł widzieć rospacz ginących zbrodniarzy!
Widzieć jak późna niedołężna skrucha
Z konającego wymatuje ducha
Zbrodnię — i nie chce zbrodniarza rozgrzeszyć,
Nie może zbawić a nawet pocieszyć.

* * *

W krainach zimnych i serca są chłodne
Uczuć prawdziwej miłości niegodne.

GIAUR

W mojem gorącem sercu, czucia moje
Wrzały jak w Etnie płomieniste zdroje.
Nie umiem nucić w żałosnych piosenkach
O lubych więzach i okrutnych wdziękach.
Jeśli krwi burza, oczu błyskawica,
Ust nieme drżenie, mieniące się lica,
Serca katownia i głowy szaleństwo,
Śmiałość w zamiarach i w spełnieniu męstwo,
Pierś chciwa zemsty, dłoń zbrojna kindżałem,
Wszystko co czułem i co dokonałem,
Jeśli to znakiem kochania — kochałem!
Niewiem, co wzdychać i skargi wywierać,
Wiem jak wzajemność zyskać i umierać.
Umrę, lecz pierwej roskoszy użyłem,
Niech co chce będzie — szczęśliwym już byłem.
Mamże kląć losom? jam sprawcą mej doli
Ja chciałem cierpieć, nie zmieniłem woli,

GIAUR.

Dziś wróć mi dawne trudy i roskosze,
Jam gotów znosić, co zniosłem, co znoszę,
Gotów na wszystko — prócz śmierci Leili:
Życia mojego żałować niewarto,
Żałuję życia, które jéj wydarto.
Ona śpi falmi nakryta chłodnemi!
Ach! czemuż grobu nie miała na ziemi; —
Czemuż to serce schorzałe nie może
Znaleść i dzielić Jéj podziemne łoże.
Ach! był anioł życia i światłości,
Widzę go dotąd w oczach moich gości,
Krąży w koło mnie, wabi mnie i nęci,
Moja zaranna jutrzenka pamięci!

Zaiste miłość jest świętym pożarem,
Iskrą zatloną w ogniach nieśmiertelnych,
Aniołów dobrem, Wszechmocnego darem,

Giaur

Balsamem rajskim dla serc skazitelnych.
Pobożność duszę w niebiosa porywa,
Ale z miłością niebo w duszę wpływa;
Uczucie, które boskiem zapalamy,
Które wytrawia wszystkie myśli plamy,
Jest to promyczek wszechtwórczego słońca,
Korona, duszę w około wieńcząca.
Wyznam, że moja miłość była inna,
Była zbyt ziemska, ludzka, nawet gminna.
Jam grzesznik Ojcze — lecz ona niewinna.
Ach! ona była mą gwiazdą polarną,
Zgasła, któż teraz oświeci noc czarną!
Ach! gdyby jeszcze weszła mi pogodnie
Wiodła mnie znowu, chociażby na zbrodnie!
Bo cóż dziwnego, że kto wraz postrada
I całe szczęście i wszystkie nadzieje
Pokornie głowy pod wyrok nie składa,
Ale klnie losom i z bólu szaleje,
I w zbrodniach szuka męczarniom ulżenia,

GIAUR

A zwiększa tylko winy i cierpienia?
Ach! serce chore na wewnętrzne rany,
Nie dba na żaden cios zewnątrz zadany!
Kto raz spadł z niebios, już się nic nie lęka,
Mniejsza gdzie spadnie, wie że wszędzie męka.

Widzę kapłanie, że tobie obrzydłem,
Drżysz i odwracasz oczy pełne trwogi;
I tegom dożył! żem stał się straszydłem,
Jestem dla ludzi jako ptak złowrogi.
Prawda że miałem drapieżność jastrzębia,
Żem latał niszcząc i lejąc krwi strugi,
Alem się uczył kochać od gołębia,
Umrę nie znając co kochać raz drugi.
Dobrze by było nie raz ludzi dumnych
Uczyć przykładem ptaków bezrozumnych!
Słowik co w gajach nocy wiosny porą,
Łabędź co zdobi błękitne jezioro,

GIAUR

Małżonkę sobie jedną tylko biorę.
Niechaj trzpiot z licznych miłostek się chwali,
Niech tych wyśmiewa co w miłości stali;
Niech sobie cacek szuka co raz innych,
Ja mu nie zajrzę tych uciech dziecinnych.
Lecz u mnie człowiek lekki i przewrotny,
Mniej wart niżeli ów łabędź samotny,
Stokroć mniej niżli nieszczęsna dziewczyna,
Którą uwiodłszy zdrajca zapomina.
Nie, ta na sercu mém nie ciąży wina!
Leilo! byłaś myśli moich treścią,
Moją roskoszą i moją boleścią,
Tyś była cnotą, ty zbrodniami memi
Nadzieją w niebie, i wszystkiem na ziemi.
Tak piękna iak ty nie była stworzona;
A ieśli iest gdzie, iuż nie dla mnie ona.
Niechciałbym widzieć na ziemi i w niebie
Podobnej tobie, chyba samą ciebie.

GJAUR,

Życia moiego okropne wypadki,
Łoże śmiertelne, przyzywam na świadki,
Że ciebie dotąd kocham jak kochałem,
Ty iesteś lubym serca mego szałem.

I jej nie było — a jam z nią nie zginął!
Żyłem, lecz żal mi oddychać nie dawał,
Wąż pierś mą ścisnął, serce me obwinął,
Myśli me kąsał i zemstą napawał.
Odtąd świat cały miałem w obrzydzeniu,
Nie śmiałem zajrzeć w oczy przyrodzeniu,
Na wszystkie jego wdzięki i ozdoby
Padł całun mojej wewnętrznej żałoby;
Resztę, Kapłanie, wiesz z mojej powieści,
Wszystkie me grzechy i część mych boleści:
Ale mi nie mów więcej o pokucie;
Już późno! bliskiej śmierci mam przeczucie,
Chociażbym przyjął wiarę objawioną,

GJAUR

Czy ty odrobisz, co już raz zrobiono?
Za łzy pociechy wdzięczen jestem tobie.
Xiądz nie pomoże nic w mojej chorobie,
Tajnie mej duszy sam w milczeniu badaj,
Jeśli masz litość nademną, nie gadaj.
Gdybyś mógł wrócić życie mej Leili,
Jabym pokutę zaczął od tej chwili;
Kupiłbym zaraz i msze i odpusty,
I modliłbym się stygnącemi usty.

Pódź do jaskini gdy strzelcy wychwycą
Zgniazda lwie małe, i rozmów się z lwicą,
Spróbuj ukoić jej żałosne jęki,
Mojej nie ulżysz, nie rozdrażniaj męki. —

* * *

W młodości latach, w szczęśliwych godzinach,
Gdym lubił dzielić smutki i wesela,

GIAUR

W mojej ojczyzny kwitnących dolinach
Miałem — czy mam go dotąd? przyjaciela —
Daj mu ten pierścień, przysięgliśmy na nim,
Wspomnieć o sobie choć raz przed skonaniem,
Wiem że mnie kochał — chcę, by się dowiedział
O moim zgonie — on mi przepowiedział. —
— Dziwno — on wzrokiem przeniknął proroczym
Przed laty, wszystko co ma ze mną stać się —
Śmiałem się — (wtenczas mogłem jeszcze śmiać się)
Gdy on ostrzegał — nie pamiętam o czém!
Lecz teraz, myślą wyzywam na nowo
Wzgardzone niegdyś każde jego słowo.
Powiedz, że zgadnął — będzie mu nie miło,
Że się proroctwo tak na mnie spełniło.
Powiedz, że chociaż w tym wieku namiętnym,
Gdybyśmy wesołe przegrali chwile
Legąc pospołu w niebezpieczeństwo tyle,

GIAUR

Wtenczas bywałem często niepamiętnym
I rozstargnionym — może obojętnym —
Powiedz że dzisiaj językiem zdrętwiałym
Za jego szczęście pomodlić się chciałem.
Ale cóż taka modlitwa pomaga,
Gdy winowajca za niewinnym błaga —
Przed ludźmi — niech on sławy mej nie broni;
On wiem że dobry — przebaczy — a oni —
Niech co chcą mówią — sława! cóż mi po niej?
Nie będę prosił, aby zgonu mego
Nie opłakiwał — nie jestem tak dumny —
Nie masz piękniejszej ozdoby dla trumny
Jak łza żałosna, brata kochanego.
Pierścień ten — niech go z rąk twoich otrzyma,
Wręcz mu i opisz coś miał przed oczyma!
Ciało uwiędłe, duszę zagaszoną,
Łódź falą uczuć na ślep wyrzuconą,

GIAUR

Zwój pism zatarty — liść z dalekiéj strony
Wichrem przygnany i mrozem zwarzony.

* * *

Tylko mi nie mów o snu przywidzeniach;
Nie to mój Ojcze nie było w marzeniach:
Kto marzy ten śpi; ja wtenczas nie spałem
Jak teraz nie śpię, i zapłakać chciałem,
Ale nie mogłem, — źrenica łez godna,
Czułem że była wyschła aż do dna,
Chciałem wydobyć z niéj łzę, łzę jedyną,
Byłaby dziwną i miłą nowiną;
Chciałem i teraz chcę, lecz rospacz wzbrania,
Rozpacz silniejsza, niżli chęć płakania.
Nie mów pacierzy, w skutek ich nie wierzę,
Silniejsza rospacz, niż twoje pacierze.
Zbawienia nie wart jestem, — i nie żądam,
Nie raju, ale spoczynku wyglądam.

GJAUR

Wtenczas — widziałem Ojcze — tak — tu była!
Widziałem dobrze — powstała — odżyła,
Białą świecącą obwiana symarą;
Tak widzę teraz, tam nad falą szarą
Gwiazdę błyszczącą przez obłok zachodni —
Ona świeciła jaśniej i łagodniej.
Dziś gwiazda świeci słabiej, tajemniej,
Jutro wieczorem wnidzie jeszcze ciemniej,
Ja nim doczekam jej promieni drżących,
Nie czuła bryła i postrach żyjących,
Ja umrę Ojcze — Już kończąc cierpienie
Zbiera się dusza w ostatnie westchnienie.
Tu Ją widziałem Ojcze i powstałem,
I wszystkich naszych nieszczęść zapomniałem.
I porwałem się z łoża i objąłem,
I cóż do mego serca przycisnąłem?
Cień był w objęciu bez tchu i bez życia,

GIAUR

Sercem nie czułem wzajemnego bicia!
Lecz to Leila! to jéj postać była!
Kochanko moja jakżeś ty zmieniła!
Spójrzałaś tylko, słowa nie wyrzekłaś,
Byłaś tak blisko i z rąk mi uciekłaś!
Lecz choć tak zimna, tak dla mnie zmieniona,
Obym cię tylko przycisnął do łona,
Całe nieszczęście objąłbym w ramiona,
Niestety, marę objąłem ulotną!
Ręce opadły na mą pierś samotną —
Lecz patrz! to Ona! to jéj szata długa,
Jéj ręka śnieżna, patrz jak na mnie mruga
Tém czarném okiem; włosy rozpostarła —
Nie — jam nie wierzył — ona nie umarła!
Ale on umarł, ja go sam obalił,
Sam go pochował, kamieniem przywalił —
On tu nie wróci, bo ciężka mogiła
Ciśnie go z góry — Ty po coś wróciła?
Oni mówili że ta twarz jak zorze,

GIAUR

Ta postać śliczna, już zapadła w morze;
Iże się nad nią fala szumna leje,
Rybacy mówią — szkaradne to dzieje,
Chciałbym powiedzieć — język mi drętwieje.

Ach! jeźli prawda że ty wyszłaś z morza,
Szukać dla siebie spokojnego łoża,
Ach przesuń mokrą dłoń przez me powieki
Niech już ostygną, zamkną się na wieki.
Lub rękę połóż na me serce wdowie;
Czy ciebie marą, czy duchem świat zowie,
Zostań oświecać chorego wezgłowie,
Odchodząc weźmij z sobą mego ducha.
Potém niech wyje szturm, niech morze bucha.

* * *

Takie me imie, takie są me dzieje.
Samemu tobie powierzam wyznania,

GIAUR

Wdzięcznie przyjmuję łzę politowania;
Suche me oko, już łez nie wyleje!
Gdy skonam, pogrzeb ubogi mnie sprawisz,
Krzyż tylko prosty na grobie postawisz
Bez żadnych liter — niechcę by wędrowiec
Napisy czytać szedł na mój grobowiec. —

* * *

Umarł — nie doszedł nikt po jego zgonie
Jak się nazywał; w jakiéj świata stronie
Jego ojczyzna; — ostatnie wyznania
Mnich tylko słyszał we chwilach skonania.
Tyle zostało o Giaurze podania,
I o Leili którą on postradał,
I o Hassanie, któremu śmierć zadał.

OBJAŚNIENIE

Giaur, niewierny; tak Muzułmanie nazywają Chrześcian.

Str. 1. w. 9. Gdy w aw przychodzień z gór Kolonny wita.

Przylądek Kolonna, zwany niegdyś Sunium.

Str. 2. w. 12. Błyszczy się róża, sołtanka słowików.

O miłostkach róży i słowika, poeci wschodni często wspominają.

Str: 3. w. 9. Zabrzmi gitara morskiego przechodnia.

Na morzach greckich często w noc pogodną słychać dźwięki gitary. Ulubiony to instrument majtków greckich, przy jego dźwięku śpiewają i tańczą.

Str. 4. w. 18. Kto na śmiertelnym oglądał posłaniu.

Zapewne rzadko który s czytelników, widział

na własne oczy obraz tu opisany. Kto widział, musi pamiętać, jak smutne czyni wrażenie tadziwna piękność, która kilka godzin po zgonie, zdobi jeszcze twarz martwą; ale kilka godzin tylko. Godna uwagi, że człowiek zabity kulą, ma pospolicie na twarzy wyraz żałości, chociażby za życia był śmiałego i dzikiego charakteru; przeciwnie postać człowieka przebitego sztyletem, wyraża boleść i tchnie dzikością.

Str: 9 w. 5. Niewolni – gorzej – sludzy niewolników.

Ateny za panowania Tureckiego były własnością Kizlar – Agi, niewolnika serajowego i dozorcy kobiet haremu. Eunuch rządził rządcą Aten.

Str: 10 w. 4 Że to piratów statek lub majnotów.

Majnoci mieszkańcy dawniej Lakonii, czyli rzeczywiście pochadzą od Spartanów?

wiele o tem pisali uczeni.

Str. 13. w. 2. Przecież błysk widać każdej to„
jaiki.

Tojaika strzelba turecka.

Str. 13. w. 3. Bo dziś zachodzi słońce Romazanu,
Dziś Bajram święcą wyznawcy Koranu.

Ramazan jest to wielki post turecki; Bajram wielkie święto które obchadzą nakształt nasze„go karnawała. O zachodzie słońca, początek Bajramu ogłasza się wystrzałem z harmaty; potem trwają całą noc illuminacje meczetów i wystrzały wiwat owe różnej broni.

Str. 14. w. 6. Chyży iak dziryt.

Dzeryd, jest to pocisk na końcu tępy. Jezdni muzułmańscy rzucają go s konia, bardzo silnie i trafnie; jest to ich ulubiona zabawa; nie wiem czy można ją nazwać zabawą rycerską; bo najzręczniejsi Dzerydyści w

Konstantynopolu są czarni rzezańcy. Pamiętam też Mameluka ze Smyrny, który w tem igrzysku Turków zwyciężał.

Str: 15. w. 15. Przyszedł i odszedł jak wicher Symomu.

Simum, wiatr pustyni, śmiertelny wszystkiemu co tchem swoim owionę. Poeci wschodni wiele o nim piszą, i różne mu dają nazwiska.

Str: 18. w. 20. Za chleb i za sól podziękować Bogu.

Na wschodzie skoro gospodarz chleb z podróżnym rozłamie i solą z nim podzieli się, już go przyjmuje za gościa; chociażby w gościu poznano nieprzyjaciela, już osoba jego jest poświęcona i od wszelkiej krzywdy bezpieczna.

Str: 19. w. 5. Goście płacze dobrodzieja, płaczą słudzy pana.

Ludzkość i litość dla ubogich nakazana jest Koranem muzułmanom. Wyznać należy, że znaleść można często przykłady

tych cnot między Turkami. Zwyczajnie jeżeli kto chce chwalić Turka, wysławia naprzód jego szczodrotę, a potem męstwo.

Str: 19. w. 10. I w srebrem kutych pochwach atagany.

Atagan jest to długi sztylet, który Turcy obok pistoletów na pasie zawieszają. Pochwy atagana są pospolicie z metalu, często ze srebra, a u bogatych wyzłacane lub szczerozłote.

Str: 19. w. 12. Zapewne Emir, bo w zielonym stroju.

Pomiędzy muzułmanami, tylko ci którzy uchodzą za potomków Machometa, mają prawo nosić suknie zielonego koloru.

Str: 19. w. 13. Ho! kto ty — Salem — waszej jestem wiary.

Aleikum Salam znaczy pokój z tobą. Chrześcijan pozdrawiają słowem Urlarula, szczęśliwa droga, albo: piresem, saban serula, dzień dobry, dobry wieczór.

Str: 21. w. 8. Jak król motylów zawiosny powrotem.

Motyl Kaszemirski, najpięknieyszy i najrzadszy z motylów.

Str: 23. w. 2. Jest iak skorpion opasany żarem.

Powszechne jest mniemanie, że skorpion otoczony żarem sam siebie żądłem zabija. Naturaliści sprzeczają się dotąd, czy owad popełnia samobójstwo dobrowolne, czy tylko wpadłszy w konwulsye, mimowolnym ruchem żądła ranę sobie zadaje. Dla dobra skorpionów życzyć by należało, aby to pytanie rostrzygniono. Skoraby raz uznano, że skorpiony są Katonami owadów, zostawionoby przecie wpokoju tych męczenników historyi naturalney.

Str: 25. w. 6. Przykładem swiętle wschodzącej Fingary.

Fingary jest Febe czyli Księżyc wschodnich narodów.

Str: 25. w. 16. Jako z Dżemszyda rubinów

zgniłych.

Sławny rubin Sułtana Dźemszyda, w powie-
ściach wschodnich zowie się Szebgerag, po-
chodnią nocy, puharem światłości etc.

Str: 26. w. 3. Przechadził ostre mosty Alsyratu.

Alsyrat podług mitologii wschodniej, jest to
most, tak wąski, jak nitka pajęcza; na tym
moście będą musieli Turcy przechodzić do
raju; zamiast rzeki, ciągnie się uspodu prze-
paść piekielna. Do tego przejścia możnaby
zastosować ów Wirgiliusza facilis descensus
averni. Pod tym mostem pajęczym, mabydź
drugi jeszcze węższy, dla chrześcian i żydów.
Persowie szczególnie boją się onego mostu: a
Jeżeli biedny Pers (powiada Chardin) po-
niesie krzywdę której dochodzić na tym
świecie nie widzi sposobu, wtenczas appelluie
ciemiężyciela na sąd straszny odpłaciszty
wałą na moście Pal Serho, tam ci podstawię

nagę, albo uczepię się do poły twoich sukien;
Widziałem nieraz że ciemiężyciel lękający się takiego aresztu, przepraszał pokrzywdzonego; i sam nieraz używałem skutecznie podobnéj groźby, etc:»

Str: 26. w. 9. Czyż taka piękność jest
prochem bez ducha.

Wylne to jest mniemanie, że Mahomet nie zostawia kobietom nadziei przyszłego życia; owszem wyznacza im na przytułek trzecią część raju. Wszakże niektórzy wykładacze Koranu, wykręciwszy text proroka, nie przyznają kobietom duszy nieśmiertelnéj.

Str: 27. w. 4. Jako Monarcha ptaków
Frangestanu.

Frangestan kraj Czerkassów.

Str: 30. w. 8. ..... już krzyczą Bismillach
Bismillach w imie Boga, od tych słów zaczynają się prawie wszystkie rozdziały.

Koranu, i wszystkie modlitwy i dziękczynienia muzułmanów.

Str. 31. w. 13. Więc wściekły wąsy od gniewu najeżył.

Zwyczajnie symptoma gniewu u Turków. W roku 1809 na audiencyi dyplomatycznéj, nagle wąsy Kapudana Baszy najeżyły się jak u tygrysa; dragmani pobledli od strachu, szczęściem wąs prowali opadł i obwisnął; zostało więc na karkach może tyle głów, ile było włosów w owych wąsach.

Str: 32. w. 12. Poznałem czarne, złowrogie źrenice.

O złych oczach i urzekaniu złem okiem, powszechna jest wiara między ludem w Turcyi, i w wielu innych krajach.

Str: 34. w. 12. Gdzie wiszą szmaty jego palamporu.

Palampor, szal który noszą baszowie i znakomite osoby.

Str: 37. w. 9. Turban w kamieniu prostym

wyrzezany.

Takie są proste nagrobki Turków. Często spotyka je podróżny w dzikich ustroniach pomiędzy skałami, oznaczają mogiły pole= głych w czasie buntu, albo zamordowanych od zbójców.

Str: 38. w. 2. Słyszał wołanie Illa hu, Alla hu.

Illa hu, Alla hu, temi słowami kończy się wzywanie na modlitwę, czyli muezim obwo= ływany z wież minaretów.

Str: 38. w. 16. Monkir swą kosą rozerwie na ćwierci.

Monkir i Nekir podług muzułmanów, są to wielcy inkwizytorowie ciągnący śledztwo z nieboszczyków. Jeżeli z odpowiedzi grzesz= ka przekonają się o jego winach, wtenczas Monkir kosą ciągnie go do góry, a Nekir, maczugą nadół ~~go~~ strąca.

Str: 38, w. 18. Przed tron Eblisa twą przeklętą duszę.

Eblis, Platon Muzułmanów.

Str: 39. w. 4.. Lecz wprzód po śmier-
ci zostaniesz upiorem.

Wiara w upiory powszechna na Wscho-
dzie. Turcy zowią je Wardulacha; Grecy
równie ich się boją, i mnóstwo o nich
prawią strasznych powieści.

Str: 41. w. 1. Jak się ten zowie kalajor ponury.

Kalajor lub kalajer, mnich grecki.

Str: 35. w 9. On wiedział o tém od swoich
proroków.

Wielu krajach, naprzykład w Szkocyi,
są ludzie którzy mają posiadać wzrok
podwójny, przewidywać przyszłe
wypadki. W Turcyi są niektórzy ob-
darzeni duchem prorockim, i słyszący

przyszłe postrzały.

Str: 57. w 17. Ona śpi falmi nakryta chłodnemi.

Przed niewielą laty żona Muchtar Baszy, oskarżyła syna swego o niewierność. Muchtar wypiadywał się o nazwiska kochanek syna. Wymieniono mu dwanaście najpiękniejszych kobiet Janiny. Basza roskazał je téjże nocy pochwycić, wsadzić w skórzane wory, i wrzucić do morza. Janczar obecny téj exekucyi, zapewniał mnie, że żadna z ofiar nie wydała krzyku, ani pokazała znaku trwogi. Za mojéj bytności w Grecyi śpiewano pieśni o Frozynie, najpiękniejszéj z owych Greczynek.

Historja o Giaurze i Leili jest nieco dawniejsza, słyszałem ją od

jednego z tych opowiadaczy, którzy po kawiarniach wschodnich prawią różne powieści wierszem i prozą. Żałuję że niewiele spamiętałem ułamków oryginału, porobiłem różne odmiany, wmieszałem własne dodatki; czytelnik je rozezna po stylu ubogim w obrazy orientalne.

Objaśnienia czerpałem z Herbelota i ze sławnej powieści Kalif Watek.

5670